NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 28 Katowice, 9-go lipca 1933

Na Niedzielę piątą po Świątkach.

LEKCJA

u św. Piotra rozdz. III, w. 8—15.

Najmilsi! Wszyscy w modlitwie bądźcie jednomyślni współcierpiący, braterstwa miłośnicy, miłosierni, skromni, pokorni; nie oddawając złego za złe, ani złorzeczeństwa za złorzeczeństwo, lecz przeciwnym obyczajem błogosławiąc; gdyż na to jesteście wezwani, abyście błogosławieństwo dziedzictwem posiedli. Albowiem kto chce żywot miłować i oglądać dni dobre, niech pohamuje język swój od złego i usta jego niech nie mówią zdrady. Niech się oddala od złego; a niech czyni dobrze; niech szuka pokoju, a niechaj go ściga. Albowiem oczy Pańskie nad sprawiedliwymi i uszy jego ku prośbie ich. Lecz twarz Pańska na działające złości. I któż jest, coby wam zaszkodził, jeśli dobrego naśladowcami będziecie? Ale i choć cierpicie dla sprawiedliwości, błogosławieni jesteście. A strachu ich nie strachajcie się, ani sobą trwożcie. Lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

EWANGELJA

u św. Mateusza rozdział V, w. 20—24.

W on czas: Mówił Jezus uczniom swoim: „Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa, niż uczonych i faryzeuszów, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż powiedziano w Starym Zakonie: „Nie zabijaj; ktoby zaś zabił, tego czeka sąd". A Ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, tego czeka sąd; ktoby zaś rzekł bratu swemu: „zakało", tego czeka najwyższy trybunał; a ktoby rzekł: „bezbożniku", tego czeka piekło ogniste. Jeśli zatem przyniesiesz ofiarę swą do ołtarza, a tam przypomnisz sobie, że brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam przed ołtarzem ofiarę swą, a idź, pojednaj się wpierw z bratem swoim, a wtedy, wróciwszy się, złóż ofiarę swoją".

NAUKA.

Zabójstwo człowieka uchodziło już u pogan za czyn karygodny, tem więcej u żydów. Natomiast gniew i nienawiść uważano za rzeczy dozwolone, zaś zemstę według zasady, ząb za ząb, oko za oko, nawet za czyn szlachetny obowiązujący męża walecznego.

Innej, lepszej, doskonalszej sprawiedliwości domaga się Zbawiciel.

Nietylko zabójstwa zakazuje, ale wszystkiego, co doń prowadzi, nietylko w słowach, jak złorzeczeń i wyzwisk, ale nawet w myśli i uczuciu. Jako z drobnego ziarnka wyrasta drzewo potężne a z małej iskierki wielki wybucha ogień, tak początkiem i źródłem zabójstw i mordów jest gniew, nienawiść chęć zemsty.

I nietylko Pan Jezus zakazuje tych grzechów, nietylko wymienia kary za nie, ale wyraźnie zaznacza, że Bóg nie może przyjąć żadnej ofiary, nie może wysłuchać żadnej modlitwy pochodzącej z serca zagniewanego i mściwego. **„Idź pierwej pojednać się z bratem swoim"**, brzmi jasny rozkaz Syna Bożego.

Tak często są modlitwy twoje bezskuteczne? Czy może dlatego?

Ewangelja dzisiejsza wyraźne zawiera zawezwanie: **Katolicy! Stańcie się lepsi! Bogaćcie się w cnoty. Nie zadawalajcie się tem, byście byli jako inni, lecz starajcie się, byście byli lepsi! Lepsi, ofiarniejsi, uczciwsi od żydów, od protestantów, od niewierzących. Niech wasza jałmużna stanie się obfitsza! Wasze umartwienie niech stanie się ofiarniejsze! Unikajcie kłótni! Nie włóczcie się po sądach! Nie interesujcie się zbrodniami! To wszystko brudzi i bruka wam duszę i to wszystko was cofa z Nowego Testamentu do Starego.**

Uchybisz zatem w czemśkolwiek — zaraz żałuj. Skrzywdzisz, zaraz napraw! Raduj się, gdy zauważysz, że dusza twa lęka się i niepokoi — bo zaczynasz się wspinać w górę! Boże dozwól, by sprawiedliwość moja stała się obfitująca. Amen.

Św. Stefan Cudotwórca.

(13 lipca).

Św. Stefan, przydomkiem zwany Cudotwórą, urodził się 31 marca 725 r. w Azji Mniejszej. Był on bratankiem św. Jana Damasceńskiego, jednego z największych Ojców Kościoła i uczonych teologów owej doby. Gdy stracił rodziców, wychowaniem jego zajął się stryj, t. j. właśnie św. Jan Damasceński. Pod kierunkiem tak znakomitego mistrza i opiekuna chłopiec odrazu zaczął dążyć do doskonałości, kształcąc umysł swój i serce.

W 9-tym roku życia umieszczony został Stefan w słynnym w owe czasy klasztorze świętego Saby w pobliżu Jerozolimy. Był to klasztor o bardzo ostrej regule i przyjmowano doń tylko ludzi już dojrzałych z ugruntowanemi zasadami; dla Stefana jednak zrobiono wyjątek, widocznie z uwagi na sławę świętego jego stryja. I tu okazał się on dojrzałym sługą Bożym.

Gdy skończył lat 25, przyjęto go do liczby mnichów.

Św. Stefan od 32 roku życia zamknął się w samotności. Wychodził zaś tylko w soboty i niedziele, aby Mszy św. wysłuchać i otrzymać roboty i rozkazy od przełożonych. W te dnie rozmawiał, a pozatem zachowywał zupełne milczenie.

Pan Bóg obdarzył go łaską cudów, które działał, unikając wszelkiego rozgłosu. Często widoczna była wokół niego jasność (aureola), która też jaśniała niekiedy z jego celi.

W wieku późniejszym św. Stefan przyjął święcenia kapłańskie, a gdy odprawiał pierwszą Mszę św., cała świątynia rozjaśniała dziwnem światłem.

Później jako spowiednik z duszami penitentów wprost cudów dokonywał i prowadził do świętości. Miał przytem dar przenikania skrytości dusz.

Następnie udał się św. Stefan w r. 762 na pustynię, gdzie przebywał przez piętnaście lat. Ale i tu go ludzie odnajdywali i przychodzili doń już to do spowiedzi, już też z prośbą o porady. W czasie pobytu na pustyni, jak i przedtem zdziałał on wiele cudów: tak np. na skutek jego modlitwy wytrysło źródło ze skały pustynnej. Kiedy indziej w sposób cudowny zachodził pożywne rośliny, aby gości nakarmić.

Pewna niewiasta z dwoma córkami przyszła do niego w celu zasięgnięcia porady. Gdy niewiasty wracały, napadł ich zbójca i chciał porwać dziewczęta. Widział to w duchu św. Stefan i modlił się o ich ratunek. Ledwie napastnik chwycił panny, by je związać, w tej chwili oślepł i sam musiał prosić o ratunek, puszczając wolno niewiasty.

Z pustyni św. Stefan znowu wrócił do klasztoru św. Saby (r. 777) i tu pozostał już do końca życia, t. j. do roku 794. Był nauczycielem zakonników i ich kierownikiem. Wszyscy go uwielbiali. Znowu też zasłynął jako spowiednik, który w trybunale pokuty odradzał garnące się doń dusze.

Cud pod Bożą Męką.

Cyprjan układał na stole jeden kołacz na drugim. W ślad za okrągłemi plackami poszły tłuszczem ociekające kiszki, wreszcie smaczny kawał kiełbasy. Dzieciom stojącym dokoła chwiejącego się na trzech nogach stołu, nabiegała ślinka do ust. Pochłaniały wszystkie te dobre rzeczy pożądliwemi, błyszczącemi źrenicami; jadły myślami, które rodziły się przy samym głodnym zapewnie żołądku. Matka ważyła umiejętnemi ruchami rąk to jedno, to drugie, zarazem upominała dzieci, gdy zbyt blisko przyciskały się do stołu.

— Zaraz, zaraz — pocieszała gromadkę — kawa się już gotuje. Każde z was dostanie. Jankowi dajcie!... Janeczku, no — zjedzże! — maleństwo marzył o tem, co mu tata przyniesie.

Ojciec podniósł uradowane oblicze i brzęknął po kieszeni.

— I pieniądze są: twarde, bite... Chwała Bogu, skończy się bieda. Stary Lorenc ma już kilka obstalunków na przyszły tydzień. Wesel będzie huk.

— Trzeba kartofli kupić... łachmanów dla dzieci; nagie to chodzi.

— Zarobi się! — rzekł Cyprjan niecoś chełpliwie, pobrzękując rozgłośnie kieszenią. — Skończyła się bieda!

Tymzasem na piecyku kawa w garnku rozpoczęła miłą dla głodnych dzieci muzykę. Mały Janek, zagryzając ochoczo kołacze z serem, wierzgał krzywemi, obnażonemi nóżkami i naśladował głosy melodyjne garnka. Inne dzieci nie przestały gapić się na drogi ładunek stołu. Starzy zaś gwarzyli między sobą.

— Gdybym grał na basie, mógłbym więcej zarabiać i dużo przynosić. Stary Lorenc napakuje ci do instrumentu koła czy tyle, ile my wszyscy razem. W chustce wstyd przynosić.

— Naucz się, czy nie masz głowy po temu — odparła żona z głębokiem przekonaniem.

— Grzechby to był Lorenca wydłubywać z kapeli.

— Ee, zawsześ ten sam: grzech i grzech. Gdzie tam grzech! Pamiętaj człowieku bez serca, że masz rodzinę.

Tym argumentem zamykała Cyprjanowa mężowi stale usta. Nastało milczenie. Żona nakrzątała się koło kawy. Trącając garnkiem o garnek, mówiła dalej:

— A gdybyś, Cyprjanie, nauczył się na organach. Nauczyciel wciąż choruje.

— To — byłoby niepoczciwie. Górski gra..

— Niepoczciwie... — przedrzeźniała go kobieta — Nie wspominaj mi o tej nadętej małpie! Nie mogę patrzeć na jego odęte wargi. Co za pycha! pisarczyk, pachoł z dworu! Taki Górski nauczył się plimplać na organach, takie nic, a ty nie umiałbyś?

— Ano pewno, że umiałbym. Ee, to chleb niepewny. Rechtor każdej chwili ozdrowieje, a potem co... A, zresztą wesel będzie do licha.

Żona spojrzała na Cyprjana z podełba i chciała coś odburknąć, ale przeszkodził jej mały Janek, który przyczołgał się od ojca, wlokąc z trudem mosiężną błyszczącą trąbkę. Oparłszy się mocno czerwonemi kończynami o ziemię, podniósł trąbkę dwoma rękami w górę. Twarz nabiegła mu purpurą, z natężenia.

— Za...grać; tata... — wrzeszczał nieustępliwie czupurnie.

Muzykant odebrał trąbkę z rąk najmłodszego dziecka i zagrał długim czystym hejnałem. Malcy przy stole, matka z młynkiem od kawy w dłoni i malutki Janek u stój ojca z otwartą buzią, znieruchomieli, patrząc się w wydęte policzki rodzica i śledząc uchem cudnego ojcowskiego grania.

— Jes...cee! — domagał się raczkujący chłopak.

Ojciec poraz wtóry ujął za trąbkę. Policzki jego ponownie nabrzmiały. Z zwierciadlanego otworu instrumentu muzycznego wypłynęła cicha, rzewna melodja. Matka przy piecu, nie wypuszczając młynka z rąk zaintonowała cieniutkim, sentymentalnym — jakby lękliwym głosem; chłopcy przy kołaczach zapomnieli o jedzeniu i zaśpiewali równocześnie z matką.

Była to pieśń, którą śpiewali w dniach radości i smutku.

„Błogosław Matko naszej biednej ziemi,
tej przebogatej w nieszczęścia i łzy“...

Cyprjan urwał muzykę i z piersi przepełnionej uczuciem i wdzięcznością do Boga Rodzicy śpiewał wraz z dziećmi:

„Niech ci co w ciszy ukojenia pragną
Zobaczą innych lepszych czasów blask“...

Tak to kończyła dzień Boży rodzina muzykanta Cyprjana.

II.

Był to twardy zawód. Niesłusznie mają ci, którzy natrząsają się z biednych grajków, albowiem chleb ich zarabiany jest w pocie czoła. Trzeba przedewszystkiem niejedną noc poświęcić, nie zmrużyć wogóle oka. Musi się spełnić każde widzimisię pijanego gościa, ostatniego wydrwigrosza, różnych hultai, łotrów i innych mniej lub więcej porządnych ludzi. Wystawia się nadto na szwank swoją własną skórę. Jeśli np. wybuchnie na sali bójka (a zdarza się to częściej, niestety, niż należy przypuszczać), wtedy wściekłość wojujących skupia się na najniewinniejszych ludziach pod słońcem, t. j. muzykantach. Latają natenczas pociski:

pękające szklanice, bryzgające butle, nierzadko krzesła i stoły w powietrzu, wszystkie w jednym kierunku — w muzykantów. Zaś nieszczęśliwi ci ludzie starają się wynieść cało z pola bitwy przedewszystkiem swoje — trąby, waltornie, basy, skrzypce i t. p. Ochraniają je swojem własnem ciałem. Najgorzej bywa z basem, bo jest to przyrząd, którego nie można włożyć za pazuchę. Bas ochraniają wszyscy muzykanci.

Biedni grajkowie przymierali głodem w adwencie i poście, odżyli zaś w karnawale, po świętach wielkanocnych i po żniwach.

Nastał obecnie mięsopust. Zarabiali wygłodzeni i wycieńczeni adwentem grajkowie, zarabiał i Cyprjan. Wesela odbywały się nietylko w rodzinnej miejscowości; raczej rzadziej grywał tutaj Cyprjan, bo operowała na swoistym gruncie miejscowa konkurencyjna, modna orkiestra, do której nie należał nasz muzykant. Wędrował więc daleko. W mrozy, słoty i zawieje przemierzał po trzy razy w tygodniu tam i napowrót okoliczne lasy; a wracał ciemnemi i gwiaździstemi nocami. Towarzysze jego: Lorenc — basista, Wolski — klarnecista i inni zostawali zazwyczaj w miejscu wesela i zdążali rankiem, albo zgoła w czwartki dopiero ku domom. Cyprjan atoli niestrudzenie deptał chrzęszczący śnieg i regularnie pojawiał się w biednej, chuderlawej chatce swojej; wygarniał przysmaki weselne darowane mu przez hojnych biesiadników, przykucał na przypiecku, okryty dziurawą chustą i drzemał parę godzin, potem zrywał się, ubierał pospiesznie i maszerował ze swoją trąbą w daleką podróż. Koledzy jego wydrwiwali go dobrodusznie i odradzali mu nocnych wycieczek.

— Jeszcze cię wilki zjedzą! — mawiał stary Lorenc.

— Za chudy na to — kpił Wolski — klarnecista. — Muzykanta nie wezmą. A znacie tę historję, która mi się przydarzyła?

Muzykant zaczął opowiadać bajkę znaną już wszystkim. Każdy z nich lubił łgać ile się zmieściło. Taką to muzykancką naturę mieli wszyscy. Sypali jakby z rękawa żartami, facecyjkami i — pieprznemi anegdotami. Tylko Cyprjan milczał. W tej chwili był myślą przy swoich. Czoło troskami poorane zwracał zawsze w ich stronę.

— Boże drogi — wzdychał — żebyż to lepiej już było.

Wtenczas kiedy trąbce wykradał skoczne polki i porywające walce, gdy sala wirowała mu przed oczyma i nabrzmiewała radosnemi krzykami weselących się ludzi, tedy pomiędzy nutami skakały olbrzymie cyfry, cyfry i cyfry. Tamtą kwotę należało przeznaczyć na kupno kartofli (chleba też już zabrakło), spłacić trzebaby w tym roku spadkobierców-braci... Grał mechanicznie, duszę mając napełnioną czarnemi chmurami. Lecz kiedy zwątpienie drapieżnemi pazurami rwało serce jego, wtedy jak promyk jasnego wiosennego słońca, zamajaczyła wśród nut główka najmłodszego dziecka, a za niem całe stadko kędzierzawych drogich głów. Widział te oczy szeroko rozwarte i usta rozśpiewane. Siłą woli wstrzymywał się, żeby nie zagrać z piersi żalem i bezgraniczną rzewnością przepojonej: „Błogosław Matko naszej biednej ziemi"..

Nad ranem zaś rabiał Cyprjan nuty i śpieszył do rodziny.

Pewnej nocy zabawa weselna skończyła się wcześnie. Cyprjan pożegnał towarzyszy i wyruszył około północy.

Szedł teraz samotny, pełen myśli najrozmaitszych. Nie zauważył nawet, że zimno ścinało trzaskami głośnemi wodę w przydrożnych rowach. Nie spostrzegł, że gwiaździste niebo nagle się zasępiło. Dopiero silne podmuchy wiatru zbudziły go z rozmyślań. Tymczasem wiatr zamienił się w wicher, który od zachodu pędził olbrzymią czarną chmurą. A nawałnica szła groźna i wściekła. Nagie konary drzew zaczęły się giąć i przeraźliwie jęczeć. Sypnęło pierwszemi płatkami śniegu. Samotny wędrowiec oglądał się za jakiemś schronieniem. Wiedział, że brnie przez okolicę niezamieszkałą zupełnie, ale nadzieją się łudził. Wtem ogarnęły go tumany śnieżne. Wśród piekielnego świstu szalejących żywiołów widział jaskrawą błyskawicę, słyszał huk spadającego gromu. Omackiem nieomal, z zaprószonemi oczyma, z oddechem utrudnionym postępował naprzód powoli, zdobywał przemocą każdy krok. Zaczęło brakować mu tchu i sił. Zgubił zupełnie drogę. Wtedy zrozumiał, że jeśli burza nie ustanie prędko — upadnie i skona, zemrze, zmarznie gdzieś na polu lub wpadnie do pobliskiej rzeki. Szarpnął się ostatkiem woli i głosem głuszonym przez poszum wiatru wołał pomocy Najświętszej.

Szedł tak bez końca, upadał na kolana podnosił się, plątał po wyrwach, zaspach z rozpaczą w sercu. Poprzez krzyki do Niebios, mieszał wołania do swoich dzieci. Jeśli jego nie stanie, zmarnieją biedactwa. Oślepły uderzył czołem o kamień, sterczący gdzieś przed nim. Wyciągnął rękę, natrafił na ciosane stopnie. Wstąpił na nie uradowany. „Może dom!" — myślał — „skończyła się bieda".

Wkrótce jednak spostrzegł swoją pomyłkę. Opierając się plecami o nawanicę, wycierał zarazem oczy i przysuwał je blisko wyrosłemu przed nim przedmiotowi. Spostrzegł, że to Boża Męka. Nie spotkał jej nigdy na swoich wędrówkach. „Gdzie się znajduję?" — myślał rozpaczy sercem.

Za nic nie ustąpi. Jeśli umrze, to w pobliżu miejsca świętego. Wicher wył tysiącznemi głosami i znosił wały mokrego śniegu. Narósł on już Cyprjanowi do kolan. Biedny grajek czuł, że kończyny mu kostnieją. Ciałem jego owładnęła ołowiana ciężkość. Czuł, że zmęczenie spęta mu wolę i chęć do życia. Pragnął spoczynku. Wyobrażał sobie dobrodziejstwo, błogość niczmąconego niczem snu.

Śnieg podnosił się wyżej i wyżej. Cyprjan skłonił głowę i zapadał w białej powłoce, zsuwał się coraz głębiej. Atoli w chwili, gdy miał przymknąć strudzone powieki, drgnął. Zdawało mu się, że słyszy głos dziecka. Głos ten wstrząsnął nim gwałtownie. Roje wspomnień zaczęły tłoczyć się po głowie. Opadły go marzenia. Sztywne, drętwiejące już członki podniósł do trąbki. Zagrał... Wydobyły się z mosiężnego instrumentu zrazu nieludzkie jakieś wrzaski. I tak jak rzeka wezbrana po czasie uspokaja się, zawraca do wygodnego koryta i płynie zwykłym nurtem, tony trąby łagodniały, miękły i zamieniły się w melodję pełną słodkiej harmonji.

Dźwięk mosiądzu przegłosił wściekłość żywiołów, stał się donośny, jak trąba archanioła, mienił się barwami nut, opadał, wznosił się, łkał i płynął rzewną, drgającą uczuciem, rozdzierającą skargę ku niebiosom, do Marji-Matki o wspomożenie. Ton grającego instrumentu, potrącany jakoby anielskiemi złotemi strunami, załamywał się miejscami, konał boleśnie, rodził się wspaniały, triumfalny

i le... ..., niedościgniony na obłokach śnieżycy w świat. Lecz grajkowi brakowało już mocy. Zarył się po szyję w śnieg. Ale po zamrożonej, tumanami śniegu okrytej ziemi błąkał się ów hymn:

„Błogosław, Matko, naszej biednej ziemi
tej przebogatej w nieszczęścia i łzy...

Koniec piosenki wyszeptał biedny muzykant sinemi już usty. Zanurzył się cały w zaspę.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Otworzył wreszcie oczy i zobaczył się w izbie spoczywającego w cudnem łóżku. Naprzeciw niego umieścił się człowiek stary z siwą brodą o zmarszczonem i dobrem obliczu. Po izbie przechodziła kobieta. Starzec wzdychał radośnie:

— A to ci!... odemknął oczy, mizerotka.

— A spał, spał nieboraczek, hej spał jak zabity — dorzuciła kobieta. — Wygrał sobie biedaczysko, wygrał. Matka Boska nad nim czuwała!

Cyprjan wytarł rękawem oczy, w których pojawiły się grube, szklące łzy i szepnął:

— Tylko ona... I dosłyszeliście? — zapytał.

— A jeno — odpowiedzieli. — Takie było żałosne granie, że kamieńby zapłakał. A — i wichura zaraz przestała. Ona — zawsze wspomagająca przebudziła nas, bośmy byli na śpiączku. A wiecie, że po dniu twardo się leży: ni wrzaskiem, ani kłonicą zbudzisz.

— Ale granie nas zbudziło! — rzekła gospodyni.

Franciszek Klon.

Fałszywy wstyd.

Są ludzie, którzy bardzo często wstydzą się swoich czynów! Jest to objawem dobrym, o ile czyny ich są złe. Jest jeszcze inny wstyd, o którym katolikom z prawdziwym wstydem przypomnieć należy czasem. Chodzi o wstydzenie się wiary katolickiej. Przykład pokaże to najlepiej.

W dzień powszedni, w godzinach rannych ulice miasta rozbrzmiewają wszelkiego rodzaju odgłosami życia. Młodzież śpieszy do szkoły, robotnicy do pracy, kupcy zaczynają otwierać swoje składy. Jednem słowem: ruch! W takim właśnie czasie daje się słyszeć nagle dźwięczny a słaby głos dzwonka!... To ksiądz do chorego z Przenajświętszem!... Teraz jesteśmy świadkami ciekawego zachowywania się ludzi, obok których ksiądz przechodzi. Dzieci i młodzi uczniowie klękają i pobożnie biją się w piersi, starsi zaś uczniowie gimnazjalni po większej części zdejmują tylko czapki, gdyż według ich rozumowania, nie można przecież od nich wymagać, by klękali na ulicy, bo przecież ludzie patrzą a pozatem mogliby „zdeformować“ sobie spodnie. Zgodzimy się chyba wszyscy z tem, że takie rozumowanie jest poprostu głupie i kto w ten sposób rozumuje, wydaje sobie sam świadectwo ubóstwa swego umysłu. Całe szczęście, że nie wszyscy w ten sposób rozumują. Ale patrzmy jeszcze dalej na zachowanie ludzi na ulicy! Robotnicy prawie wszyscy klękają, lecz są wśród nich tacy, którzy na widok księdza albo przyśpieszają kroku, albo też chowają się w bramach domów. Jednak widzimy jeszcze gorsze „sceny“, niektórzy bowiem zaczynają dowcipkować na temat Kościoła, księży i wogóle wiary. W jednym z takich wypadków mieliśmy dobry przykład, jak należałoby zawsze pouczać takich „samorodnych“ mędrków. Oto kiedy dwóch takich „bardzo oświeconych“ młodzieniaszków głośno wyrażało swoje „mądre“ zasady — zbliżył się ku nim staruszek, dźwigający zapewne na sobie z 6 krzyżyków i powiedział do nich: „Zdawało mi się, że czasy dzisiejsze, to czasy wielkiej mądrości, tymczasem panowie pokazaliście mi, że głupota ludzka jest nadal w wielkiem poszanowaniu u niektórych ludzi, do których panowie chcecie się zaliczać. Kto bowiem wątpi w Boga i nie umie, a jeszcze gorzej nie chce oddać Mu należnej czci, ten jest ślepcem.“ Można sobie wyobrazić miny tych dwóch młodzieniaszków. Staruszek nie mówi więcej. Ukłonił się i odszedł. O ile ci młodzieńcy nie byli zupełne już zdemoralizowani, to można być pewnym, że słowa staruszka odniosą należyty skutek. Trzeba jednak więcej takich obrońców wiary. Nie wolno wstydzić się swojej wiary katolickiej, ale trzeba też być obrońcą swojej wiary.

Fr. J. K.

Z hitlerowskich Niemiec.

Fala represyj względem duchowieństwa katolickiego w Niemczech.

Nawet z ostrożnych informacyj prasy niemieckiej w Rzeszy dostrzec łatwo można, że rozpoczęła się wyraźna akcja, skierowana przeciw nietylko członkom bawarskiej partji ludowej, ale także przeciw centrowcom i duchowieństwu katolickiemu wogóle. W Landau (Palatynacie) komisarz policji rozwiązał konferencję duchowieństwa, ponieważ jakoby nie była zameldowaną. W więzieniu w Ludwigshafen osadzono aresztowanego w Burrweiler proboszcza ks. Nachtigalla. W Imsweiler pod Rochenhausen aresztowano „dla własnego bezpieczeństwa“ miejscowego proboszcza. Uwięziono również w Landau proboszcza ks. Admendingera pod zarzutem „szkodliwej agitacji“. Dla „niewiadomych“ powodów wreszcie odwołano zapowiedziany na 2 lipca północno-szwabski dzień katolicki w Neuburgu.

Bałwochwalcy państwowi.

Podczas zebrania robotniczego w berlińskim „Lustgartenie“ przemawiał m. in. dr. Ley, który omawiał swoje wrażenia z Genewyw. Charakterystycznym momentem przemówienia było oświadczenie, że „dla zbawienia nie potrzeba katolickich związków sportowych ani ewangelickich czy katolickich związków robotniczych, należy to bowiem do państwa“. Powinniśmy — mówił — zastosować środki zaradcze przeciw wszelkiej reakcji. Musimy sobie uświadomić, że rewolucja jeszcze się nie skończyła. Komunizm, socjalna demokracja i centrum należy jednokowo ukrócić. Są to nasi wrogowie. Nie cofniemy się, a dziś lub jutro musimy podjąć odpowiednie przeciw nim zarządzenia.“

Pieniądze niemieckich organizacyj katolickich — zabrane.

Pieniądze, które znajdowały się w kasach wszystkich towarzystw i organizacyj katolickich, zostały zabrane. Na majątek nieruchomy nałożony został sekwestr. Spodziewany jest zbiorowy protest z powodu tych gwałtów ze strony biskupów niemieckich.